



ZA ŚWIĘTĄ SPRAWĘ.

Powiadka historyczna
z powstania roku 1863

przez

Mieczysławę Śleczkowską.



SPÓŁKA WYDAWNICZA KAROLA MIARKI
W MIKOŁOWIE NA GÓRNYM ŚLĄSKU.

✧ S. Wasiński ✧

ZA ŚWIĘTĄ SPRAWĘ

Powiatka historyczna
z powstania roku 1863

przez

Mieczysławę Ślczkowską.



SPÓŁKA WYDAWNICZA KAROLA MIARKI
W MIKOŁOWIE, NA GÓRNYM ŚLĄSKU.



53895

884-3

Żmudź to święta! Ziemia Boża!
Na pół leśne jej obszary,
A na poły strojne w zboża;
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary!
Bo lud wierny w ziemi żyznej,
I nie skąpo tej ojczyzny!

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty
I wysokie — dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty;
Ponad drogą krzyżów pełno
I kapliczek tuż przy domu.
Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu.
I zażywny i nie marny,
Pracowity, gospodarny —
I poważny i nabożny.

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny z razu,
Lecz gdy serce zawrze w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu,
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
Piersi jękną z tajnej głębi,
Zamiar wpadnie niby w studnię.
Lecz czas krwi tej nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłódnie
I wypłynie na jaw — w czynie!

Z „Pieśni o ziemi naszej“ W. Pol.

ZBIORY ŚLĄSKIE



I.

Pastuszek.

Czerwcowe słońce schyliło się ku zachodowi. Odchodząc, rzucało ziemi złote snopy promieni, które wpadając między wiśniowe liście małego sadu, muskały niedojrzałe owoce. Pod dotknięciem ciepłych, dobroczynnych promieni, wiśnie rosły, rumieniały się, czerwieniały się i przybierały smak przewyborny.

Sadek wiśniowy, ozłocony promieniami zachodzącego słońca, otaczał mały, niski dworek wiejski, który nie wiele różnił się od chaty wieśniaczej. Gdyby nie mały ganeczek, oparty na drewnianych słupach i większe okna dworku, zdawałoby się mogło, że jest to zwykła chata. Koło dworku spostrzegamy małą, niską stajenkę, opodal stodołę i studnię z żórawiem.

Za wiśniowym sadkiem widać grzędy z jarzynami i kilka uli osłoniętych rozłożystą lipą. Poza woniejącem drzewem widnieje łączka, na której rżnie trawę drobna, szczupła kobieta. Na jej twarzy zwiędłej i pomarszczonej, maluje się łagodna słodycz. Z wynędzniałego oblicza kobiety domyśleć się łatwo, że częste troski niepokoją biedaczkę, że przeboleła wiele.

W ogródku panuje zupełna cisza, wśród której od czasu do czasu słyhać szcęknięcie sierpem i brzęk pracowitych pszczołek.

Naraz rozległ się hałas. Słyhać było gniewny głos męski, szlochanie dziecka i gwałtowne bicie pięścią w stół, od którego brzęczały drobne szyby w okienkach dworku. Wśród wrzawy nie można rozróżnić słów, po chwili jednakże słyhać dokładnie następujące wyrazy, wymawiane gniewnie, krzykliwie:

— Do kowala oddam darmozjada! Oddam! Jak mi Bóg miły! Jakem Mackiewicz!

Gdy głośnie krzyki i szlochania doszły do uszu kobiety, pracującej na łące, twarz jej posmutniała jeszcze więcej. Podniosła się z ziemi, a zebrawszy do płachty zerżniętą trawę, podążyła śpiesznie ku domowi. Płachtę z trawą

zostawiła przed drzwiami, a sama weszła przez sień do izby. W izbie pod oknem, na drewnianej, malowanej kanapce siedział mężczyzna mogący mieć blisko pięćdziesiąt lat, siedział zmęczony od pracy czy gniewu przy stole, stojącym przed drewnianą kanapką.

W drugim kącie izby, przy malowanej szafce, w której poustawiane były fajansowe talerze i szklanki z zielonego szkła, stał szczupły chłopczyzna, bosy, w drelichowych spodeńkach i koszuli z szarego płótna, w jednej ręce ścisnął bat, w drugiej wielką księgę, mającą karty ze starej bibuły. Chłopczyzna wciskał się ze strachu w kąt i szlochał po cichu, czasem tylko głośne łkanie wyrwało się z piersi dziecka.

Kobieta wszedłszy do pokoju, jednym rzutem oka spostrzegła płaczącą chłopczynę i gniewnego męża. Zwróciła się też do niego, pytając:

— Co się stało?

— Jeno obraza Boska, przez Antka niecnotę! — odpowiedział mężczyzna łagodniejszym nieco głosem.

Kobieta patrzyła pytająco na siedzącego mężczyznę, a on prawił dalej:

— Obraza Boska! przez tego darmozjada, zamiast pilnować krowiny i cielęcia, pozabierał stare bibuły ze strychu i rozczytał się w nich niby ksiądz jaki, a tymczasem łysula z cielęciem wlaźła w pszenicę sąsiada Mikołaja. Mikołaj zamiast chłopaka nauczyć rozumu, napada na mnie i wyzywa ostatnimi wyrazami, omało w złości nie spróbowałem kija na jego grzbiecie. A nie jest-że to obraza Boska? A przez kogo? a jeno przez tego niecnotę! Zamiast pilnować krowiny, bawi się w panicza. Dość już tego! pokarałby mię Bóg, gdybym chłopakowi pozwolił wyrość na próżniaka! Skoro nie chce pomagać rodzicom w krwawej pracy, niech idzie między obcych. Przy kowadle nie będzie mógł zasłaniać sobie ócz temi nieszczęsnemi bibułami.

Podczas gdy mężczyzna wykrzykiwał gniewnie, kobieta stała i słuchała, a od czasu do czasu spoglądała z żalem na szlochającego chłopaka.

Żaloszne spojrzenie matki wycisnęło nowe potoki łez z oczu chłopczyny. Ojciec wygadawszy się, ucichł, kobieta wysłuchawszy sprawy, dalej poczęła krzątać się po izbie.

Nakryła stół grubym obrusem, położyła na nim chleb razowy, postawiła misę mleka kwaśnego, przyniosła z kuchni dymiące ziemniaki, a wezwawszy męża i syna do wieczerzy, sama usiadła, lecz jadła tylko z przymusu. Widocznie gniew męża i płacz syna odjęły spracowanej kobiecie apetyt, za to stary jadł z wielkim smakiem. Antek zaś półgębkiem. Szlochanie i strach przed kowalem przeszkadzały jeść głodnemu dziecku. Ojciec, zjadłszy wieczerzę, wyszedł.

W izbie została matka z synem.

— Na, jedz! — mówiła kobieta do chłopca łagodnie. — Zawsze musisz czemś ojca pogniewać — dodała po chwili, — wiesz, że z nim niema żartów. Widzisz przecie, że oboje z ojcem ciężko pracujemy, pomimo to nie możemy nastarczyć na wszystko, wiesz dobrze, że na przednówku często głodem przymrzeć trzeba. Powinienbyś nam w pracy dopomóc, nie jesteś przecie dzieckiem, skończyłeś lat dwanaście.

Chłopiec w pierwszej chwili odpowiedział szlochaniem tylko. Ale uspokoiwszy się nieco zawołał: „Oj mamusiu! mamusiu! kiedy te książki tak mnie do siebie ciągną!“

— A czy nie dość czasu masz na czytanie

książek w zimie? W lecie trzeba koniecznie bydła w polu pilnować.

Na łagodne słowa matki chłopiec odpowiedział głosem żalonym:

— Ale mamusiu, ja nie chcę iść do kowala.

— Nie chcesz, a cóż zrobisz, jeżeli ojciec odda cię do niego, jak to przed chwilę powiedział!

— Ucieknę! — rzekł chłopiec żywo, bez namysłu.

— Gdzie? do kogo? — zapytała przestraszona kobieta.

— W świat, do miasta, do szkoły, do ksiązek — odpowiedział jednym tchem chłopiec.

— Do szkoły! — mówiła matka — do szkoły! Ach, gdybyśmy mieli na to, chętnie oddalibyśmy cię do szkoły. Ale za co? za co oddać? kiedy tu drzwiami i oknami bieda kołace. Jednego roku grad zboże wybije, drugiego posucha, kiedy indziej zabierze woda, to i skąd brać pieniędzy. Boże, zmiłuj się nad nami — wzdychała kobieta.

Chłopiec postawszy chwilę przy stole, położył łyżkę, poukładał szare bibuły, które wywołały gniew ojca i położył je na skrzyni koło pieca, a pocałował matkę w rękę, wszedł

do alkierza, ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej i modlił się rzewnie i gorąco.

Pani Mackiewiczowa tymczasem poszła wydoić krowę, a idąc z mlekiem do piwnicy, spostrzegła siedzącego męża na ławie pod gankiem. Wstawiwszy mleko do piwnicy, usiadła obok męża i powtórzyła mu swoją rozmowę z Antkiem.

Stary uspokoił się już zupełnie, rzekł też głosem pełnym smutku:

— Oj, ciężka nasza dola! Jużciż ja widzę, że chłopak bez książki wyżyć nie może, jak ryba bez wody. Ale cóż ja poradzę. Wiele to dzieci w bogatych domach ucieka od nauki jak od ognia, a nasz rwie się do niej jak do raj. Ale czyż ja, szlachcic zaściankowy, pan jaki, czy co? Gorzej od chłopca pracować muszę i cierpieć nad tem, że dziecku nijakiego wykształcenia dać nie mogę.

— Ale i do kowala oddać Antka nie można — mówiła matka — zmarniałby przy ciężkiej pracy.

— Ale co z nim robić? — mówił znowu ojciec z niecierpliwością w głosie — wszakże nie mogę pozwolić, aby rósł na próżniaka.

— Poczekaj, poczekaj! — mówiła słodkim głosem pani Mackiewiczowa — może Pan Bóg natchnie nas jaką dobrą myślą. Jutro niedziela, pójdę do kościoła, pomodłę się do Boga; wszakże On jest Opiekunem strapionych.

Nazajutrz matka z synem wybrała się do sąsiedniej miejsciny Cytowian, aby tam w kościele prosić Boga o zmiłowanie. Matka i chłopiec modlili się serdecznie, gorąco. Po Mszy świętej puścili się z powrotem do domu. W drodze chłopiec zwrócił się do matki i rzekł:

— Matusiu, jużci ja widzę, że wy nie możecie łożyć na moje wykształcenie, ale ja bez książek żyć nie mogę. Uproście ojca, aby mi pozwolił iść do Wilna, do szkoły. Przy pomocy Boskiej dam sobie radę, niech ino ojciec da mi kilka groszy na drogę.

Matce ścisnęło się serce, gdy posłyszała słowa syna. Uprosić ojca, aby pozwolił dziecku samemu iść w świat szeroki bez opieki! bez zaopatrzenia?!

Idąc, przypomniała sobie, że dzieciak, bez niczyjej prawie pomocy nauczył się czytać i pisać, pytając to ojca to matki, co znaczą czarne kreski na białych kartkach książki do modlitwy. Zimowymi wieczorami przy migotliwym

świetle komina nauczył się od ojca początków pisania, resztę zrobił już sam. Wszakże umie czytać, a pisze tak pięknie, że organista dziwił się, ujrzawszy jego pismo.

Wieczorem dnia tego długo naradzali się rodzice Antosia, wreszcie postanowili wyprawić Antka po świętach do Wilna na naukę. Matka poczęła skrzętnie grosze zbierać za jajka, za mleko i za masło, aby synowi sprawić jakie ubranie i dać na drogę kilka groszy. Ścisnęło się biedaczce serce z bólu, że jej Antek pójdzie sam w świat. Uboga matka nic innego zrobić nie mogła, jak tylko w gorącej modlitwie błagać Boga o opiekę nad dzieckiem swoim.

II.

Na opiece Boskiej.

W pogodny poranek wrześniowy, szczupły chłopczyzna wyszedł z dworku rodzinnego na południe do Wilna szukać skarbów wiedzy, w daleki, nieznany sobie świat. Za odchodzącym spoglądali rodzice, kreśląc Krzyż święty

w powietrzu. Matka z zaczerwienionemi od płaczu oczyma spoglądała za żwawo idącym synem.

Miał on na sobie nowe szaraczkowe ubranie i mały węzełek na plecach. W węzełku znajdowało się kilka rubli i trochę zapasów żywności. Oto wszystko, co mogli dać ubodzy rodzice dziecku, chciwemu nauki. Antoś Mackiewicz, jakkolwiek brał się gorąco do książki, zapłakał, żegnając się z rodzicami. Załzawionemi oczyma spoglądał na zaścianek, w którym spędził lata dziecinne, z żalem opuszczał ukochaną Żmudź. Pomimo, że chłopaka żal ścisnął za gardło, szedł rażno, biegł raczej, jakby się strachał, że mogła mu przyjść ochota wrócić pod strzechę rodzicielską.

Około południa zmęczony chłopczyzna postanowił odpocząć. Usiadł pod rozłożystą, dziką gruszą, dobył z zawiniątka ser i chleb — i lzy stanęły mu w oczach. Przypomniawszy sobie, że chleb przyniosła mu matka w drżących rękach, te same drogie, spracowane ręce chlebowo zrobiły, upiekły, przypomniał sobie, że ojciec obrabiał pole na chleb, że je zasiewał własnymi rękoma. Własnymi rękoma młócił i miął zboże na żarnach.

Kiedy i czy ujrzy rodziców? — przemknęło po głowie małego wędrowca. Tęskne myśli wycisnęły potoki łez z oczu chłopczyka. Otarł je szybko, bo przypomniał sobie, że wyszedł dobrowolnie z domu, wyszedł, aby pojąć naukę.

Myśl o nauce osuszyła łzy chłopcu, napił się ze źródła wody i orzeźwił, zjadł chleba kawałek, odpoczął, i miał znowu siły do dalszej drogi.

Szedł szybko, myśląc o książkach i szkole, o przyszłości. Przyszła mu także na myśl wioska rodzinna, pola, łąki, po których pasło się bydło rogate. Najdłużej jednak zatrzymał się myślą przed dworkiem, w którym zostawił rodziców. Przebiegł w nim wszystkie izby, wszystkie zakątki; najchętniej przebywał myślą tam, gdzie w rzeczywistości było najlepiej. Oto pod dachem dworku, na strychu.

Tu między różnorodnymi rupieciami znajdował się stos „szarej bibuły“, jak wyrażał się ojciec naszego zucha. Bibuły te miały dla Antosia Mackiewicza urok niesłychany. Z tych szarych stronic wyglądających ze starych ksiąg dowiadywał się chłopczyzna o przeszłości naszej Ojczyzny, poznawał z nich świętych,

zacnych bohaterów i królów. Ze stosu starych ksiązek występowały przed oczy chłopca niezliczone postacie ludzi, którzy w znoju i w boju pracowali około dobra publicznego. Każdy z zasłużonych wydawał się chłopcu robotnikiem, dokładającym cegły i kamienie dla zbudowania gmachu wspaniałego, noszącego nazwę „Ojczyzna“.

Rozmyślenia kończył chłopczyzna westchnieniem do Boga, aby i on mógł jakąś cegielkę dołożyć do wspólnego gmachu, aby mógł śmieci i gruzy z gmachu starego usunąć.

Tak myśląc szedł, i dopiero, gdy ciemnieć poczynało, przypomniał mu się nocleg!

— Gdzie zanocuję? — myślał, z trwogą rozglądając się wśród pustego pola. Wśród dnia przechodził około zagród wiejskich, a nawet jedną z nich minął przed godziną może, lecz wtedy o noclegu nie myślał. Wracać nie chciał.

— Ej! pewnie napotkam jeszcze przed wieczorem wieś lub chatę, w której dobrzy ludzie pozwolą mi przenocować.

Szedł zatem dalej, rozglądając się bacznie. Lecz niestety ni wsi, ni domu nie było widać, miał tylko przed sobą szumiący las. Zapada-

jąca noc nie pozwalała myśleć o dalszej drodze, a las swoją poważną ciszą przerażał chłopca.

Nie było rady, trzeba przenocować tu koniecznie, bo ciemność nie pozwalała iść dalej. Ze strachu zapomniał nasz malec o wieczerzy, położył węzełek pod rozłożystą sosną, wsparł na nim głowę i leżał z szeroko otwartymi oczyma, spoglądał w niezgłębioną ciemność. Lecz noc położyła na oczach chłopca niby ciemną zasłonę, z pod której światła Bożego nie widział. Przestraszał go najłżejszy ruch. Gdy liście na drzewach zaszeleściały, zdawało się biedakowi, że dziki zwierz zbliża się, aby go pożreć; już, już widzi nad sobą jego błyszczące oczy. Ze strachu nie może poruszyć się z miejsca, patrzy przerażony w świecące oczy zwierza, i przekonany się z radością, że to nie wilcze oczy, lecz gwiazdy migocą na niebie. Uspokoiwszy się, zaczął szeptać słowa modlitwy, wreszcie zasnął.

We śnie ujrzał, jak najbliższa sosna poczęła rość szybko, coraz, coraz wyżej, już ledwo dojrzeć może wierzchołek, sięgający nieba. Ze zdumieniem patrzy chłopczyna na olbrzymie drzewo. Naraz zabrała go ochota wspinać się na wierzchołek i spojrzeć w niebo.

Nie namyślając się długo, począł szybko i zręcznie jak wiewiórka wspinać się po konarach sosny, po chwili spostrzegł, jak już wysoko znajduje się nad ziemią. Aż w głowie zawróciło się biedakowi.

Z obawy, aby nie spaść z tak ogromnej wysokości, nie patrzy więcej na dół, lecz szybko, coraz szybciej piał się w górę. Jeszcze kroków kilka, a stanie u szczytu, już będzie mógł spojrzeć na mieszkańców niebieskich.

Na tę myśl serce drżało chłopcu z radości. Odpoczął chwilę, a potem już stoi na wierzchołku, przebija głową błękitne sklepienie niebieskie i spojrzy w głąb. Z początku oblały go potoki światła tak wielkiego, że nic nie mógł rozeznaczyć, powoli, gdy oczy nawykły do jasności, ujrzał Boga Ojca wśród chórów anielskich, lecz widzenie znikło w jednym oka mgnieniu, tron Boży zasłoniła nieskończona ilość Świętych Pańskich i ludzi zacnych, nagrodzonych niebem.

Naraz z tego cudownego tłumu odłączyła się postać niewieścia i niewypowiedziana dobroć.

— Jadwiga, królowa polska! — wykrzyknął nasz śmiałek.

Królowa w odpowiedzi uśmiechnęła się i podniosła rękę nad głowę chłopczyny, wyrzekła: Żyj zacie, a Pan Bóg cię nie opuści!

Nim spostrzegł się chłopczyna, królowej już nie było. Z tłumu wystąpił młodzieniec z świetlaną aureolą nad czołem. W jednej ręce miał lilję białą, drugą opierał na tarczy ozdobnej pogonią litewską i polskim orłem. Kazimierz święty, patron Litwy! — wyszeptał nasz chłopczyna, składając ręce do modlitwy. Kazimierz święty skinął na rozrzewnionego dzieciaka przyjaźnie i powiedział: „Módl się i pracuj“.

Nasz mały zuch chciał pogarnąć do świętego młodzieniaszka, lecz widzenie znikło, a raczej ustąpiło miejsca innemu. Ujrzał teraz męża w białej krakowskiej sukmanie, otoczonego gromadą ludu wiejskiego. Tak, to Kościuszko, pomyślał chłopczyna. Kościuszko, spoglądając dobrotliwie na naszego wędrowca, rzekł: Kochaj Ojczyznę i służ jej wszystkimi siłami!

Cudowne widzenie oddalało się powoli, wreszcie znikło. Nasz zuch spał się na palcach, aby raz jeszcze spojrzeć w niebo, lecz zachwiał się, stracił równowagę i począł spadać. Przeżony chciał krzyknąć, lecz głosu z gardła do być nie mógł, począł wyciągać ręce, aby uchwycy-

cić gałąź, wreszcie wśród szamotania i przestachu obudził się. Wtedy przekonał się, że śnił. Pożałował snu pięknego, więc przymknął oczy, sądząc, że widzenie powróci. Lecz senne obrazy zniknęły niepowrotnie. Tymczasem promienie wschodzącego słońca muskając twarz i oczy chłopczyny, rozbudziły go i oprzytomniły do reszty. Las pełen był gwaru i szmeru. Szumiały drzewa, brzęczały skrzydlate owady, śpiewało ptastwo różnorodne.

Wszystkie głosy wydały się chłopcu modlitwą pochwalną wznoszoną przez wspaniałą przyrodę do potężnego Stwórcy. Do modlitwy przyrody całej, dzieciak przyłączył swoją. Ukląkł pod sosną, wznosił oczy ku niebu i zatopił w modlitwie bez słów. Było mu tak błogo, rozkosznie. Nie czuł żadnej trwogi w swoim osamotnieniu, bo nad sobą miał niebo, a w niebie świętych opiekunów.

Po modlitwie pokrzepił się chlebem i serem, poczem żwawo i ochoczo ruszył w dalszą drogę. Początkowo myślał o nocnych widzeniach, a w uszach brzęczały mu usłyszane słowa: „Módl się i pracuj!“ „Żyj zacnie, a Bóg cię nie opuści!“ „Kochaj Ojczyznę i służ jej

wszystkimi siłami!“ Wyrazy owe wyryły mu się dokładnie w pamięci.

Następnie zwrócił uwagę nasz młody wędrowiec na wspaniały, ale zarazem poważny i smutny las, w który tak obfituje jego rodzinna Żmudź. Podziwiał ogrom odwiecznych dębów, które zaledwie kilku ludzi zdołały rękoma opasać, smutne sosny i jodły przypominały mu owo niebotyczne drzewo, o którym tak mile śnił w nocy; oczy chłopczyny ścigały przelatujące z drzewa na drzewo ptaszki, rozweselające swym śpiewem i szczebiotem spokojną ciszę leśną.

Tam dzieciół na jedlinie

Stuka z lekka i dalej odlatuje — ginie,

Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,

Gryzie go, zawiesiła kitkę nad oczyma,

Jak pióro nad szyszakiem u kirasjera,

Chociaż tak osłonią, dokoła spoziera,

Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznicą

Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica.

Widoki te rozweselały osamotnionego wędrowca, który rażno kroczył naprzód. Po kilku godzinach przeszedł las, odpoczął trochę, posilił się i ruszył dalej w drogę. Przed nim roztaczały się rozległe i żyzne pola, zieleniejące łąki, a hen w oddali widniały białe chaty wiej-

skie. Już słońeczko chyliło się ku zachodowi, kiedy Antoś zdążył do wioski. Dziś nie potrzebował nocować w puszczy leśnej. Zapukał do pierwszej lepszej chaty, i prosił o nocleg. Gospościa przyjęła małego wędrowca gościnnie, otoczyła opieką macierzyńską i użaliła się nad dołą osamotnionego dziecka.

Dalszą drogę odbywał chłopczyzna rzadko tylko samotnie, często spotykał pieszych lub jezdnych. Z podróżującymi pieszo rozmawiał i droga mu się krótszą wydawała. Jadący widząc zmęczone dziecko, zapraszali je na wózek, jechali w tę samą stronę, chłopiec chętnie przysiadł się, aby wypocząć. Nocował najczęściej między ludźmi, ale gdy czasami noc zaskoczyła go w pustce jakiej, kładł się na swoim tłumoczku bez trwogi, w modlitwie oddawał się opiece Bożej i zasypiał spokojnie.

Podróż z miejsca rodzinnego do stolicy Litwy po większej części piesza, trwała dosyć długo.

Zapewne niejednen z naszych czytelników nie wie dokładnie, gdzie leży Litwa i Żmudź, rodzinna ziemia naszego bohatera, należy więc parę słów o tem powiedzieć:

Hen, daleko na północ od nas, w południowo-wschodniej stronie morza Bałtyckiego, leży kraj szeroki, „równy, senny, często mszysty i piaszczysty“, pokryty obficie ogromnymi lasami, przecięty wspaniałą wstęgą rzeki Niemna, uchodzącego wraz z dopływami do morza Bałtyckiego. Krainę tę nie bardzo urodzajną zamieszkują Litwini, lud małowówny, „cichy, rzewny“, ale przytem „kuty, bity“.

Choć kraj jego niebogaty
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.

Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie —
I dobytek w dom gromadzi,
I o jutrze wiecznie radzi.

Żmudź zaś, zwana świętą od wielkiej pobożności mieszkańców, jest krajem przynależnym do Litwy, jeszcze bardziej wysuniętym na północ. Opis ziemi i ludu żmudzkiego mają czytelnicy we wstępnym wierszyku.

Z utęsknieniem czekał chłopiec końca drogi.
Z bijącym sercem ujrzał nareszcie dnia pewnego
szczyty wieżyc licznych kościołów Wilna;
z bijącym sercem wszedł w Ostrą Bramę starożytnego grodu Litwy, gdzie się znajduje sławny

obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Z dziecięcą ufnością polecił się opiece królowej naszej i wszedł do ludnego miasta.

Zmrok właśnie zapadał; na ulicach było gwarno i ludno. Wielkie miasto onieśmieliło naszego podróżnego; obawiał się zapukać do którego z licznych domów, aby prosić o nocleg. Chata wiejska była dla niego starą znajomą; do niej też śmiało zachodził, po drodze, lecz nie miał odwagi wejść do wielkiej kamienicy. To też plątał się po mieście oszołomiony, nareszcie, gdy noc na dobre zapadła, zbliżył się do nieznanego sobie kościoła, obok którego wznosił się klasztor. Był to kościół Wszystkich Świętych. Na progu drzwi wchodowych ukląkł chłopczyna, aby prosić Boga o miłosierdzie ludzkie, tak bardzo potrzebne dla osamotnionego dziecka. Modlącego się chłopca zaskoczyła noc; nie miał odwagi już iść dalej, to też podłożywszy węzełek pod głowę, usnął na progu domu Bożego. Wrzawa miejska przeszkadzała biedakowi, ale gdy wkońcu usnął, spał twardo aż do rana.

Jeden z zakonników, Ojciec Karol, wyszedłszy wczesnym rankiem z klasztoru, spostrzegł śpiącego chłopczykę. Na widok wynędzniałego,

opalonego, kurzem okrytego dziecka, wzbudziła się litość w sercu zakonnika. Stał i patrzył na śpiącego z rozrzewnieniem. Biedactwo — szeptał — biedactwo, widocznie pozbawione opieki ludzkiej, schroniło się pod skrzydło Boże.

Śpiący, jak gdyby czuł spojrzenie zakonnika, począł poruszać powiekami, wreszcie otworzył oczy i ujrzał przed sobą duchownego, oblanego promieniami wschodzącego słońca. Otworzywszy oczy, zaczął je przecierać, jak gdyby chciał przekonać się, czy to sen lub prawda? Gdy tak leżał nieruchomo, zakonnik przemówił: „Bóg z tobą, chłopcze!“ Słowa te wymówione głosem dobrotliwym, rozbudziły całkiem chłopczykę; zerwał się na równe nogi, ucałował rękę zakonnika i zdało mu się, że ma przed sobą opiekuna, zesłanego od Boga, o którego modlił się wieczorem. Opowiedział też zakonnikowi, po co przybył do Wilna. Ojciec Karol wysłuchawszy opowiadania, zabrał chłopczykę do klasztoru. Tu znalazł Antoś Mackiewicz przytułek. Zakonnicy klasztoru Wszystkich Świętych przygarnęli do siebie dzieciaka i za usługi około kościoła ofiarowali mu naukę, której tak gorąco pragnął.

Na modlitwie i pracy upływały lata młodemu Mackiewiczowi. Umysł wzbogacał nauką — chłopiec wyrastał na młodzieńca.

III.

W rodzinnym zakątku.

Upłynął spory kawał czasu od wypadków opowiedzianych w poprzednim rozdziale.

Jest znowu skwarne, pogodne lato. Gdzie rzucisz okiem, dostrzegasz łąny, pookrywane dojrzewającym zbożem. Pokoszone łąki wonieją, a w powietrzu rozbrzmiewa śpiew ptasząt i brzęk owadów.

Ścieżką, biegnącą tuż koło gościńca, idzie podróżny, spoglądający wesoło po polach, idzie śpiesznie, nie ogląda się za siebie, chociaż gdyby się obejrzał, miałby piękny widok na wielkie miasto, znane nam dobrze z historii. Jest to dawno stolica Rusi, Kijów. Z Kijowa wyszedł nasz podróżny, napatrzył mu się widocznie dosyć, bo nie ogląda się za siebie, lecz rażno idzie naprzód. Wśród dnia odpoczywa

krótko, a nawet i w nocy pozwala sobie zaledwie snu parę godzin, tak śpieszno mu do nieznanego nam celu podróży. Gdybyśmy chcieli zaspokoić naszą ciekawość, musielibyśmy iść za podróżnym, lecz znudziłibyśmy się i zmęczyli daleką podróżą. Podróżny bowiem przechodził przez Ruś, Litwę, zdążając ku Żmudzi. Pomimo znękania twarz podróżnego stawała się weselsza, gdy przechodził przez Żmudź. W ruchach znać było niecierpliwość.

Wreszcie dnia pewnego w samo południe ujrzał dobrze nam znany zaścianek i dworek otoczony wiśniowym sadem. Na ten widok rumieniec radości wystąpił na twarz młodzieńca. Nie mógł już oczu oderwać od dworku, który jakoś zapadł w ziemię, i zmarniał od czasu, gdy go widział po raz ostatni. Za to wiśniowe drzewka powyrastały. W tej chwili stały strojne, okryte dojrziałym owocem, tylko lipa została niezmienioną, woniała jak dawniej, jak dawniej brzęczały koło niej roje pracowitych pszczołek.

Młodzieniec z sercem bijącym przestąpił próg rodzinnego dworku i przebiegłszy sień, stanął na progu izby. Pod oknem, na malowanej ławeczce, przy stole nakrytym grubym

obruszem, siedział siwy, przygarbiony starzec, a przy szafce stała szczupła, mała kobiecina, zajęta wyjmowaniem fajansowych talerzy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — przemówił drżącym głosem przychodzeń, chyląc się do nóg siedzącego starca.

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiedział stary. — A skąd to Bóg prowadzi? — pyta dalej, spoglądając już na pochylonego młodzieńca.

Nim przychodzeń zdołał odpowiedzieć, wyciągnęła ku niemu ręce staruszka, która na pierwszy dźwięk głosu nieznajomego odwróciła się i szybko przybliżyła, wołając:

— Antek, dziecko ukochane?

Ów podróżny był to istotnie znany nam niegdyś dzieciak, dziś młodzieniec 20-letni, którego kochająca matka poznała po głosie. W tej chwili całował ręce i nogi matczyne, tulił się do jej piersi, jak niegdyś, będąc dzieckiem maleńkiem.

Pani Mackiewiczowa drżała ze wzruszenia, jak listek osiki. Potokiem łez radosnych oblała głowę tak dawno niewidzianego syna. Zerwał się z siedzenia i pan Mackiewicz, a odbierając matce syna, witał go serdecznie, potem przy-

patrując się bacznie młodzieńcowi, powtarzał: A bodajże cię! jak urosłeś! to ja stary własnego dziecka nie poznałem. A bodajże cię.

Głos drżał staremu, widocznie przykro mu było, że syna w pierwszej chwili nie poznał.

Wnet po rzewnem powitaniu syn siedział przy stole między rodzicami i zajadał smacznie obiad z fajansowego talerza, na który matczyisko dokładało jedynakowi różne nowe i smaczne kąski. Młodzieniec zajadając, patrzył na rodziców, dostrzegał w nich wielkie zmiany. Pochylił się ojciec, pochyliła matka, twarze ich pokryły niezliczone zmarszczki. Z rodziców przenosił wzrok na izbę, powiadając:

— Nic tu się nie zmieniło, wszystko jest jak przed laty.

— Tak, tak — potwierdził ojciec, kiwając głową. — Wszystko tak samo, tylko, że zamiast małego pastuszka lamentującego w izbie chaty, siedzi młodzieniec, który między ludźmi nauczył się mówić, tak jakoś jakby czytał z uczonej księgi. — Młodzieniec opowiadał potem swoje przygody, rozpoczął od chwili, gdy opuścił dom rodzinny, potem od pierwszej podróży do Wilna, potem opowiadał o pobycie

w klasztorze; w klasztorze życie było jednostajne, ciche, posługa w kościele i nauka. Niepostrzeżenie biegły tu lata. Gdym skończył lat ośmnaście, powiedział mi mój opiekun, Ojciec Karol, abym po dalszą naukę poszedł do wyższej szkoły w Kijowie.

Jakkolwiek z Wilna do Kijowa daleko, jakkolwiek miałem niewiele pieniędzy, przecież postanowiłem iść, chociażby na koniec świata, byle uczyć się dalej. Odwagi dodawała mi myśl, że skoro nie opuści mię Bóg, gdy jako dziecko wyszedłem z pod dachu rodzinnego, nie opuści też młodzieńca.

Przebyłem pieszo drogę daleką; w nagrodę za trudy w podróży, poznałem nieznane mi strony naszej Ojczyzny. Koledzy przyjęli mnie w Kijowie serdecznie. Poczciwe chłopaki pomogli nieznajomemu w obcym mieście. Wyszukali mi lekcje. Ucząc dzieci, zarabiałem wprawdzie niewiele, ale wystarczyło mi na skromne potrzeby, miałem żyć z czego. Mogłem uczęszczać do uniwersytetu.

Po dwóch latach pobytu w Kijowie zatęskniłem tak bardzo za wami, i ot zabrałem moje manatki i przyszedłem, aby was uściskać, aby wziąć od was błogosławieństwo na dalszą drogę

życia. Jakkolwiek ziemia ojczysta drogą mi jest bardzo, najdroższym przecie kątem rodzinny, to też postanowiłem tu zostać nadal.

— Dziecko najmilsze! — wołała rozczulona matka, całując głowę syna... — Dziecko pocziwe! — wtórował ojciec. Gdy po chwili uspokoił się staruszkowie, młodzieniec mówił dalej: Postanowiłem zostać kapłanem i służyć, póki Bóg siłą użyje, Bogu i ludziom.

Przez kilka tygodni cieszyli się państwo Mackiewiczowie synem, który przepędził u nich wakacje. Po wakacjach pobłogosławiony przez rodziców, wstąpił do seminarjum w Worniach roku 1846, zaś roku 1850 przyjął święcenie kapłańskie. My jednakże nie będziemy towarzyszyli młodemu klerykowi, uczącemu się gorliwie w Worniach, ani też młodemu wikaremu, pracującemu sumiennie w Podbrzeziu.

Pójdziemy przysłuchać się kazaniu, którem żegna Antoni Mackiewicz od lat kilku proboszcz w Podbrzeziu, parafjan swoich.

Było to roku 1863. W kościółku tłok niesłychany. Wieśniaki i wieśniaczki wpatrują się w natchnione oblicze kapłana. A on im prawi rzeczy ciekawe.

Opowiada, jak to niegdyś przed 5 wiekami Litwa ze Żmudzią i Rusią połączyły się dobrowolnie z Polską, aby wspólnymi siłami odpierać srogich nieprzyjaciół; opowiada, jak miłością złączone ludy wzrosły w potężne państwo, chroniące przez wieki środkową i zachodnią Europę od zalewu Turków i Tatarów; przedstawia, jak w tem państwie kwitnęły nauki i powszechny dobrobyt, ale później upadła oświata a zapanowały pijaństwo, zepsucie i rozstrój wewnętrzny, a z tego skorzystali wrogowie i rozdarli nam Ojczyznę na trzy części. Straciliśmy skarb najcenniejszy: „Wolność“, popadliśmy w niewolę... Synowie wolnej ziemi zrywali się wielokrotnie, aby skruszyć kajdany, aby wywalczyć znowu niepodległy byt dla mieszkańców polskiej powiatowanej krainy. O i teraz nadeszła chwila, w której udręczeni, uciemienieni chwycili za oręż, aby pokonać potężnego wroga, zrzucić sromotne jarzmo niewoli. W Warszawie, stolicy Rzeczypospolitej polskiej, utworzył się „Rząd Narodowy“, który kieruje świętą walką o wolność i pismem cały naród wzywa do niej. Lecz rząd ten pragnie wolności dla wszystkich, a więc znosi pańszczyznę, ogłasza

wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu wolnymi i równymi obywatelami kraju.

— Ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy wstępujący w szeregi obrońców kraju lub — w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały — rodziny ich otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.

— Na odezwę tę rządu narodowego pośpieszyli synowie Polski pod chorągwie i walka z wrogiem toczy się już na znaczniejszej przestrzeni ziem polskich. Jedni z was niechaj pozostaną i pracują na chleb, inni podążą, gdzie woła Ojczyzna i powinność.

Łkanie słuchających i wzruszenie ogromne nie pozwoliło kapłanowi mówić więcej, nakreślił krzyż nad płaczącymi i ze łzami w oczach wyszedł z kościoła na plebanję. Poszli za nim starsi gospodarze, reszta płacząc wychodziła z kościoła na cmentarz, wyrzekając żałośnie.

Do kogo udamy się nieszczęśliwi po radę? mówili jedni, po pomoc, po ratunek, wzdychali

wszyscy. Potem opowiadali jedni drugim, ile to dobrego działał ksiądz Mackiewicz w Podbrzeziu. Pogodził zawsze powaśnionych, bo jak człowiekowi przemówił do serca, to o złości, o zawziętości zapomniał. Pamiętacie Bartłomieju, jak to z zawziętością w sercu stanęliśmy przed księdzem proboszczem, gotowi skoczyć sobie do oczów, a jak potem podaliśmy sobie ręce na zgodę, gdy nam powiedział, że nie godzi się, aby dzieci jednego Ojca na niebie, jednej matki Ojczyzny na ziemi, żyły z sobą w niezgodzie.

— Ajużci pamiętam, czyż przygody takiej zapomnieć można? A bo to raz nasz dobrodziej nam radą dopomógł? Gdy człek nie mógł sobie dać rady w jakiej sprawie, to szedł jak w dym na probostwo. Wysłuchał nas jak prawdziwy ojciec, poradził, dopomógł, a często też nad złą dolą zapłakał. O pamiętam ja łzy jego — mówiła kobieta — gdym chowała mego synaczka.

— O nie zapomnę mu ja nigdy, gdy w ciężką zimę padła mi krowina, to przysłał mi z plebanji swoją. Gdyby nie to, nie byłabym przeżywała moich niebożąt. Nasz dobrodziej był dla nas prawdziwym ojcem, pożałował, po-

radził, pocieszył, ale i zgromił, gdyśmy na to zasłużyli — mówiła jedna ze starszych kobiet.

Żalów, wyrzekań było bez liku.

Aż naraz wystąpił z pośród gromady starzec siwowłosa i przemówił gniewnie: At, wyrzekanie wasze głupie jest. Wtedy gdy idzie o dobro powszechne, o sprawę świętą, jak to nasz dobrodziej na ambonie powiedział, to wy myślicie jeno o sobie, nie zakrwawiajcie daremnie serca sobie i najzacniejszemu dobrodziejowi, a lepiej róbcie, co powiedział, odchodząc. Do pracy na chleb powszedni kazał iść, do pracy koło sprawy świętej. Zróbmy, jak nam przykazał. W ten sposób przekonamy naszego proboszcza, że go miłujemy jak ojca, jak ojca słuchamy. Zaczna jego dusza rozraduje się, bo przekona się oczywiście, że jego praca dziewięcioletnia między nami nie była daremną, że ziarno rzucone jego ręką w nasze serca i umysły, wydało plon stokrotny, tysiąckrotny. Przekonamy go, że w naszej parafji tyle było pól urodzajnych, które on w pocie czoła uprawiał.

Gromadka, słuchając słów poważnych zacnego starca, umilkła zawstydzona. Spozstrzegła, że sprawy osobiste, własne, wobec

sprawy powszechnej są małe i o nich zapomnieć należy, gdy idzie o dobro kraju.

IV.

Sługa Boży obrońcą Ojczyzny.

Na plebanji zebrała się gromadka starszych i młodszych wieśniaków, aby z księdzem proboszczem obradować nad ważną sprawą. Ksiądz proboszcz udzielał rad, dawał wskazówki. Późna już była godzina, gdy nareszcie pozostał sam.

Usiadł przy drewnianem prostem biurku, dobył z niego różne papiery, przeglądał je, porządkował, niektóre rzucał w ogień na duży komin. Płomień, buchający jasno od płonących papierów, pozwoli nam rozejrzeć się po pokoju. Uderzy nas niezmiernie proste, ubogie urządzenie. Widzimy tu sprzęty najprostsze, najpotrzebniejsze. W jednym rogu pokoju dostrzegamy szafę z pułkami, na których poustawiane duże księgi z tytułami złożonymi na grzbiecie.

Ubogie urządzenie izby i kosztowna biblioteka wyglądają jakoś dziwnie. Biblioteka, to jedyny zbytek, którego sobie pozwalał ksiądz Mackiewicz. Niegdyś jako dziecko rozczytywał się w starych księgach, poniewierających się na strychu; teraz nie szczędził grosza na dobre książki, które darzyły zacnego kapłana najmilszą rozrywką. Najchętniej rozczytywał się w księgach, w których były spisane dzieje ojczyście.

Wszystkie dochody proboszcza w Podbrzeziu szły na książki i na wspomaganie potrzebujących; nie starczyło na sprzęty wykwintne; zadawałniały zacnego kapłana te, które zrobił stolarz wiejski. W tej chwili ksiądz proboszcz zamyka szufladę biurka, wkłada do kufereczka rozmaite przedmioty i ubiera się jak do podróży. Przed wyjściem rozgląda się po swej izdebce, jak gdyby przekonać się chciał, czy nie zapomniał czego. Następnie staje na chwilę przed szafą z książkami, jak gdyby żegnał się z swymi przyjaciółmi, potem zabiera kuferek i wychodzi.

Złociste promienie padają na szumiące drzewa puszczy Krakinowskiej. Lekki wie-

trzyk igra z listkami krzewiny, tulącej się do stóp wysokich drzew leśnych, które cichym szmerem podają sobie jakieś poważne wiadomości.

O gdybyśmy zrozumieć mogli mowę drzew leśnych, dowiedzielibyśmy się od nich wiele! W lasach bowiem ukrywali się ci, którzy zerwali się do boju. W lasach, niby w twierdzach, szukali przytułku powstańcy z roku 1863.

W lasach puszczy Krakinowskiej znajdziemy także naszych znajomych. Musimy zejść z gościńca, między drzewa, musimy przedzierać się wśród gęstych zarośli, a natrafimy na rozległą łąkę, po której przemyka wąska struga wody. Z samego przodu widzimy krzyż, koło niego powiewa Boga-Rodzica na kościelnej chorągwi. Pod krzyżem, niby przed ołtarzem, klęczy ksiądz Mackiewicz w sutannie. Za nim kilkuset ludzi klęczy z odkrytymi głowami. Rogatywki trzymają w rękach, głowy pochylili kornie ku ziemi. Odziani są w szare sukmany, krótkie, nie sięgające kolan. Sukmany przepasane pasem rzemiennym, za który pozakładali topory; na ramionach zwieszają się u jednych dubeltówki, u każdego

widzimy na plecach płócienną sakwę z żywnością. Nie wszyscy wojownicy mają strzelby. Dostrzegamy tu liczną gromadę wieśniaków, uzbrojonych w kosy wyprostowane narzędzie pracy w oręż zamienione. Poza gromadką ludzi stoi kilka drewnianych skrzynek z prochem i kulami, kilka kociołków i worki z żywnością. Dziwne wrażenie robią ci uzbrojeni ludzie w kornych postawach i modlitwą na ustach. Zdało ci się, że jesteś w wspaniałej świątyni, której za sklepienie służy błękit nieba, za ściany drzewa niebotyczne.

Po chwili modlitwa skończona, świątynia zamienia się w obóz. Zebrani dzielą się na większe lub mniejsze oddziały, pod wodzą przełożonych rozchodzą się w rozmaite strony, aby uprawiać się w robieniu bronią.

Do księdza Mackiewicza zbiegła się młodzież okoliczna z licznych zaścianków, zbiegło się wiele ludu wiejskiego, wszyscy gotowi dać życie w obronie Ojczyzny. Wszyscy przyszli z najlepszymi chęciami, lecz mała garstka tylko umiała obchodzić się z bronią. Ci zatem, co znali się cokolwiek na sztuce wojennej uczyli nieumiejących. Ksiądz Mackiewicz jest to tu, to tam, zachęca, poucza. Nigdzie jednakże nie

może zatrzymać się dłużej, odrywają go co chwila, bo co chwila jawi się gość nowy w puszczy. Jedni przynoszą żywność, a odebrawszy od księdza rozkazy i błogosławieństwo, odchodzą, inni przybywają, aby w obozie pozostać. Jednych zostawia ksiądz Mackiewicz, drugich odsyła do domu dając rozmaite polecenia.

Podczas gdy oddział powstańców zaprawia się w rzemiośle wojennem, kilku wieśniaków rozpałiło ogień, przystawili do niego kociołki, ponalewali wody, nasypali krup, powkładali rozmaitego mięsiwa, doglądali pilnie kociołków, aby ugotować posiłek dla ćwiczących się powstańców.

Razu pewnego, gdy ksiądz Mackiewicz zajęty był udzielaniem pociechy duchownej, zaszeleściło wśród zarośli, dało się słyszeć jakby skrzypnięcie kół u wozu; z pośród gałęzi wyrzuciły się głowy końskie i postać ludzka.

— Żyd Jankiel! arendarz! — zawołało głosów kilka.

Żyd w długim hałacie kłaniał się nisko księdzu Mackiewiczowi, który zwrócił na niego wzrok niespokojny, badawczy.

— Przywiozłem trochę żywności dla panów powstańców — mówił żyd, kłaniając się do nóg księdzu.

— Żadnej żywności u was nie zamówiłem — odparł sucho ksiądz.

— Niech ksiądz dobrodziej nie gniewa się na mnie, chociaż żyd, mam przecież sumienie, ja przywiozłem żywność nie na zamówienie, a myślę, że wam się przyda. Ja rozumiałem, że jak jest wielka robota, to im więcej robotników, to tem lepiej; przyszedłem powiedzieć księdzu dobrodziejowi, że może przydam się na co w tej wielkiej robocie.

— To robota nie dla was — mówił ksiądz, potrząsając głową, — wy żydzi szukacie zarobku, pieniędzy, my ubodzy dać wam tego nie możemy; idźcie z Bogiem.

— Z przeproszeniem jegomości, ale ja nie dla zysków tu przyszedłem, dla tej samej sprawy, co i wy. Niech jegomość uwierzy, że i żyd może kochać Ojczyznę, może pragnąć jej dobra.

W słowach żyda była prawda, była uczciwość, to też ksiądz spoglądał nań łagodniej, ale

gdy wahał się z odpowiedzią, odezwało się kilka głosów z tłumu:

— Jankiel, proszę jegomości, jest żyd uczciwy, jemu zaufać można.

Wtedy ksiądz Mackiewicz podał rękę żydowi, rzekłszy kilka słów dobrotliwych.

Twarz żyda zajaśniała radością, ucałował rękę księdzu, rzucił się do nóg jego, mówiąc wzruszonym głosem: Dziękuję jegomości za poczciwe słowo, dziękuję.

— Bracie, wstań! — powtórzył ksiądz.

— Och tego słowa „bracie“ ja wam nigdy nie zapomnę. Mnie tak dotąd nikt nie nazwał; chociaż ja radbym być bratem uczciwych ludzi. Jestem dzieckiem polskiej ziemi, bo wiem, że Polska jak matka przygarnęła nas żydów, gdyśmy sponiewierani, prześladowani, męczeni byli w całym świecie. Jak matce służyć jej chcę i słuchać waszych rozkazów.

— Dziękuję ci za uczciwą pomoc, bratem mi jesteś, bo masz tak jak i ja duszę od Boga, jesteśmy sobie równi, skoro uczciwie chcemy służyć jednej sprawie.

W okolicy kręciły się liczne oddziały moskiewskie. Lecz źle uzbrojonym, niewprawnym

żołnierzom trudno było stanąć do stanowczego boju z wojskiem regularnem. To też oddział nasz z księdzem Mackiewiczem uderzał na Moskale, gdy ci nie spodziewali się zaczepki. Najczęściej napadano na nieprzyjaciół w nocy. Niespodzianie napadnięci nie mogli bronić się skutecznie, a oddział odnosił zwycięstwo, po którym się chronił, nim dzień zaświtał, do twierdzy swojej, do lasu. Tu odpoczywano po trudach nocnych i przygotowywano się do nowej wyprawy.

Do pomyślnych wycieczek nocnych przyczyniał się w wielkiej części Jankiel, który zawiadamiał księdza Mackiewicza, gdzie i w jakiej liczbie znajdują się Moskale. Przez kilka miesięcy staczał oddział pomyślne utarczki z Moskalami, którym tak bardzo dał się we znaki, że wszelkimi sposobami starali się go niespodzianie otoczyć, a mając większe siły, w pień wyciąć powstańców. Zasadzka jednak nigdy nie udała się Moskałom. Ksiądz Mackiewicz potrafił zręcznie z niebezpieczeństwa wysliznąć się i w bezpieczny zakątek swoich wojowników uprowadzić. Jakkolwiek nieźle powodziło się w boju powstańcom, to przecież ucierpieli wiele. Nieustanne potyczki i nieustan-

ne marsze nużyły ich niezmiernie, a i głód często dokuczał biedakom.

Razu pewnego, gdy ukryci w lesie odpoczywali po ciężkich znojach, głodni, znękani, okryci ranami tak zesłabli, że już nie mieli siły ni do walki, ni do marszów. A tu jak na nieszczęście, nie było czem siły pokrzepić, powstańcy nie mieli bowiem ani okruchy chleba, ani żadnej innej żywności. Wtem wśród tak przykrego położenia, jawi się pomoc niespodziana z rąk poczciwego Jankiela. Przybył z kilkoma wieśniakami, niosąc chleb, ser, mleko, krupy, mięso, a w dodatku i wódkę.

Jak tam żyda witano, jak mu dziękowano, to i trudno opowiedzieć. Wnet rozpalono ogień, nastawiono wody w kotłach, aby ugotować ciepłej strawy, której czasami całe tygodnie nie mieli nasi wojownicy.

Podczas gdy wszyscy rzucili się do chleba, sera i wódki, ksiądz Mackiewicz siedząc na pniu drzewa z kubkiem mleka, które mu podał ktoś z gromadki, słuchał opowiadań żyda. Zdaje się, że Jankiel opowiadał jakieś ważne rzeczy, bo ksiądz pomimo głodu zapomniał o mleku, pilnie słuchał opowiadającego. Podczas tego twarz księdza wyrażała zdziwienie,

smutek, to znowu oburzenie. A było się czemu dziwić, było i gniewać o co.

Posłuchajmy, o czym ci dwaj mówili:

— A co słyhać nowego? — zapytał ksiądz.

— Źle słyhać, proszę jegomości, Moskale pokonali w tych stronach już prawie wszystkich powstańców. A gdy w jakiej chałupie napotkają rannych, to tam już prawdziwy sądny dzień. Nieszczęśliwych mordują w sposób taki, że człowiekowi włosy na głowie stają. Przywiązują biedaków do drzewa, a potem strzelają do nich niby do celu. Gdy pomordują panów powstańców, nuże rabować chałupy, zrabowane podpalają, nie zważając, że chałupa w środku wsi, od niej zajmują się inne, i tak w jednej chwili staje wieś cała w płomieniach.

— Na człowieku to skóra drży ze strachu, gdy się wieczór zbliża. Każdego wieczora na niebie ukazuje się czerwona łuna od pożaru. Od dłuższego czasu patrzymy tylko na krew. Ziemia krwią zbroczona, a łuna na niebie widzi się tak, jak gdyby niebiosą krwawiły się od krwi przelanej na ziemi. Gdy nieszczęśliwi ludzie łamią ręce, patrząc, jak ogień niszczy ich krwawicę, to te Moskale niby czarty radują się niedolą ludzką i jeszcze zemstują, że los

taki spotka każdego, kto da u siebie przytułek buntownikom; tak nazywają oni panów powstańców.

— Moskale — ciągnął Jankiel dalej — lamentującą ludność chwytają, wiążą i jak bydło pędzą daleko na Sybir. — Żyd mówiąc, patrzy na księdza, którego twarz wynędzniała wyrażała boleść niewysłowioną, spostrzegł to żyd poczciwy, spostrzegł, że ksiądz słuchając nie napoczął nawet podanego mu posiłku.

Przestał też mówić, nalegając na zacnego kapłana, aby pokrzepił swe siły. Dopiero, gdy się ten niezmordowany obrońca wolności posilił, ciągnął dalej Jankiel:

— Ot, proszę jegomości, ja się dowiedział jedną rzecz bardzo ważną, że ja z nią radbym był lecieć na skrzydłach, jak ptak, a czekać musiałem, aby się nie zdradzić przed Moskalami.

— No, cóż takiego? — pytał ksiądz.

— Pewnego dnia przyszli Moskale do mojej karczmy i kazali sobie dać wódki, poczęli ją pić i wyklinać na czem świat stoi, z przeproszeniem, na jegomości. No, ja takie brzydkie słowa nie powtórzę, jakie oni mówili, ale

ja widzę, że oni na jegomości takie złe! nu takie złe! że wściekły pies gorszy być nie może. Oni są oto złe, że nie mogą jegomości dostać w swoje ręce. Car im kazał, aby zaraz, koniecznie jegomością złapali, a tu ani rusz. Bo jegomość niby piorun spadnie na nich, przetrzepie i niby piorun gdzieś ginie. To oni inaczej zabiorą się do jegomości. Oni teraz na jegomości oddział pójdą nie ze strzelbą i pałaszem, ale w sukmanach takich jak powstańcy i z kosami.

Książdz patrzył ze zdziwieniem na żyda, a ten mówił dalej: Oni teraz zakupują takie same sukmany, jakie mają powstańcy, takie pasy rzemienne, takuteńkie topory i sakwy płócienne. Oni w to wszystko ubiorą swych żołnierzy i każą im udawać powstańców. Ci udani powstańcy będą szukać jegomości, niby że idą pod jego komendę. Oni myślą, że gdy ich jegomość przyjmie, to oni wtedy cały oddział rozbiją i jegomości pochwycą. To wszystko słyszał ja na własne uszy, w mojej karczmie. Moskałom wódka gębę rozwiązała, to, co miało być w tajemnicy, oni rozgadali. I z tem ja tu przyleciał.

— Niech ci Bóg zapłaci.

Potem rozmawiał ksiądz Mackiewicz z wieśniakami, którzy przeprowadzeni przez żyda zaopatrzyli oddział w żywność. Za żywność przywiezioną chciał ksiądz zapłacić. Wieśniacy o zapłacie słyszeć nie chcieli, a gdy ksiądz nalegał, rzekli: A za kogo to nas jęgomość ma? To wy wylewacie krew, dajecie życie za Ojczyznę, a nie chcecie pozwolić, abyśmy w ofierze dali kruszynki chleba! Ksiądz nie nalegał już więcej, uściskiem braterskim podziękował zacnym ludziom.

Po całym kraju uwijały się mniejsze oddziały powstańcze, prowadząc walkę podjazdową. Powstanie to trwało półtora roku. Stoczono w niem około tysiąca większych i mniejszych bitew. Poświęcenia i ofiar było z naszej strony bez granic, ale brak było broni i środków pieniężnych, dlatego to trudno było o ostateczne zwycięstwo. Mogłaby Polska wtedy walczyć z większym powodzeniem, gdyby wszyscy włościanie stanęli do walki z najeżdzącą. W tym wypadku Moskale mieliby do czynienia z milionami przeciwników, gdziekolwiekby się ruszyli, wszędzieby spotykali nieprzyjaciół. Włościanie mogliby im byli zabierać dowozy żywności, nie pozwalać im nigdy

spokojnie odpocząć, tak, że wreszcie ciemieźcy nasi musieliby ulec przed przemagającą siłą zbrojną.

Niestety, tylko na Żmudzi garnęli się włościanie całemi gromadami pod chorągwie powstańcze, w innych dzielnicach Rzeczypospolitej, jak w Krakowskiem, na Podlasiu niewielka tylko liczba brała udział w tej świętej walce o wolność, a w większej części Polski lud był prawie obojętny dla tej sprawy. Powodem zaś tego było niezrozumienie rzeczy i nieufność w ogłoszenie Rządu Narodowego, że po wywalczeniu niepodległości Polski, będzie zniesiona pańszczyzna.

Z nadejściem jesieni zimno poczęło dręczyć srogo powstańców, źle odziani, przemokli i głodni nabawiali się chorób najrozmaitszych. A tu na nieszczęście nie było gdzie złożyć chorego lub rannego. Ranni powstańcy nie chcieli bowiem szukać schronienia w chatkach, aby mieszkańców nie narażać na zemstę srogich wrogów, nie mających miłosierdzia dla nieszczęśliwych. Po bitwie zdrowi chronili się w lasy, ranni nie mogąc uciekać, pozostawali bez niczyjej pomocy.

Jeżeli któremu udało się dowlec do lasu i ukryć przed wrogami, to czekała go tam śmierć powolna z głodu lub ciężkich ran, których nie było komu leczyć. Los zdrowych powstańców nie był wiele lepszy od rannych. Przekonywali się, że prowadzą walkę nierówną z nieprzyjacielem potężnym, że lada dzień będą pokonani, zginą od broni wrogów albo dostaną się w niewolę. Dola jeńców gorszą jest jeszcze od śmierci; czeka go więzienie ciężkie lub Sybir. A droga na Sybir jest szeregiem okrutnych katuszy, które tylko najsilniejsi przeżyć mogą. Większość ginie z zimna i niedostatku w drodze.

Z końcem listopada stoczył oddział księdza Mackiewicza krwawy bój z Moskalami. Powstańcy bili się zacięcie, zacięcie odpierali nacierającego wroga, który na nieszczęśliwych napierał z coraz większą siłą, coraz liczniejszymi zastępami, których też nasi bohaterzy nie mogli pokonać. Większość poległa chwalenie na polu bitwy, reszta rozproszyła się po okolicy. Dwóch powstańców uprowadziło ukochanego kapłana, rannego w nogę, z pola bitwy i zdołało ukryć przed okrutnymi zwycięzcami.

Położenie trzech niedobitków, pozostałych po rozbiciu oddziału, było bardzo bolesne. W lesie nie mogli pozostać, bo pomarliby z głodu, wyjść z lasu obawiali się, aby nie wpaść w ręce Moskali.

Naradziwszy się, postanowili uciekać nocami ku Królestwu, aby tam przyłączyć się do jakiego oddziału powstańczego. Przez kilka dni przemykali się niepostrzeżeni od wrogów, a wieśniacy dostarczali im żywności. Doszli wreszcie nad Niemen. W zaroślach postanowili zaczekać, aby wieczorem niepostrzeżenie przeprowić się przez rzekę. W zaroślach znalazł się kolonista, który wyśledził zbiegów, a poznawszy w nich powstańców, dał znać o nich Moskałom.

Cały oddział otoczył nieszczęśliwych powstańców. Dwaj towarzysze księdza Mackiewicza ocalili się ucieczką, jego zaś pojmano, bo jako ranny nie zdołał uciec. Gdy Moskale w pojmanym poznali księdza Mackiewicza, radość ich była ogromna. Już bowiem od dawna czyhali na naszego bohatera.

Moskiewski generał, Murawiew, znany z okrucieństwa, rozkazał przyprowadzić pieszo księdza Mackiewicza do Kowna. Okrutnicy

przywiązali jeńca na krzyż do kija i pędzili nieszczęśliwego, który dobywał resztek sił, aby odbyć drogę, która była prawdziwą torturą. Za każdym bowiem krokiem kij, do którego przywiązano nieszczęśliwego, uderzał go po skaleczonej nodze.

W Kownie zamknięto w więzieniu męczennika za świętą sprawę. Dostojnicy moskiewscy odwiedzali więźnia, prawili mu, że jest ciężkim winowajcą w obliczu cara, przeciwko któremu ośmielił się podnieść bunt. Za występki taki czeka go sroga kara, bo śmierć na szubienicy. Ale mówili do księdza, car dobry jest, przebaczy twoje winy, nawet obdaruje hojnie i do łask przypuści, jeżeli tylko zechcesz wymienić nazwiska członków rządu narodowego.

Oczywiście chcieli Moskale pojmać członków rządu narodowego, aby ich śmiercią pokarać.

Na te przemowy nie odpowiedział ksiądz Mackiewicz ani słówkiem. Nie otrzymawszy odpowiedzi raz pierwszy, powrócili Moskale nazajutrz, powracali codzień i codzień było jedno i to samo, więzień milczał, jak głaz. Moskale nie mogli zrozumieć uczuć szlachetne-

go człowieka, niechającego czynem podłym ratować życia.

Wyrok, skazujący księdza Mackiewicza na śmierć, miano wykonać 26 grudnia 1863 roku. W wigilję dnia tego obwożono księdza po mieście. Tłumy ludu garnęły się aby ujrzeć świętego męża, męczennika za sprawę narodową. Na znękanej, wynędzniałej twarzy więźnia widniał głęboki smutek.

Nazajutrz wprowadzono księdza Mackiewicza na rusztowanie. Tu jeszcze moskiewscy urzędnicy namawiali więźnia, aby zdradził członków rządu narodowego, a w nagrodę uzyska wolność i łaski cara.

Ksiądz Mackiewicz odpowiedział: Wszystko, co do mnie należało, zrobiłem; teraz wy zróbcie, co do was należy.

Po tych słowach wykonano wyrok. Polski męczennik, ze złożonemi jak do modlitwy rękoma, wyzionął ducha. Życ przestał, ale pamięć o nim żyje, w sercach rodaków. Lud wiejski, dla którego ksiądz Mackiewicz był ojcem prawdziwym, wspomina go nieustannie, uważa zacnego kapłana za świętego i modli się do niego. Za życia udawali się mieszkańcy parafji Podbrzezia w każdej potrzebie do swego

plebana, dziś, skoro go niema wśród nich, ślą do zmarłego modły o wyjednanie miłosierdzia Pana nad pany, wierzą, że ich ukochany proboszcz, zacny obywatel, otrzymał z rąk Boga nagrodę za życie zacne.

Niechajże w sercach naszych żyje pamięć polskiego kapłana, który w znoju i boju służył Bogu, Ojczyźnie i bliźnim.



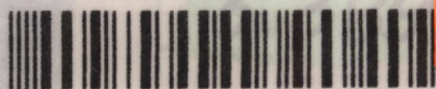
12 -

555883/20772

53895

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

5389 \$



001-005389-00-0

